

Dr. A. WYLM.

KORALOWY RÓZANIEC

4

Romans psychiczny.

Ciąg dalszy.

— Gdzie pan był wczoraj i przedwczoraj? Oczekiwałam pana całą noc.

— Musiałem zrobić analizę bardzo pilną i trudną. Nad nią spędziłem dnie i noce od ostatniego naszego widzenia.

— Nie spał więc pan tyle czasu? — rzekła z współczuciem postać.

— Zato śpię teraz.

— Ciągłe ta sama myśl! Chciałabym, by mi pan wytłumaczył, jak to się dzieje, że widzę swe ciało uśpione i jednocześnie siebie obudzoną?

— Bardzo łatwo mogę to skutecznie! Śnię, że panią widzę, słyszę, że z panią rozmawiam i spostrzegam pani ciało, lecz te wrażenia są tylko płodem mej imaginacji.

Postać wzruszyła ramionami.

— Czy nie pan nie znalazł na zegarze?

— Owszem. Przeczytałem kartkę, napisaną przez panią, że pani oczekiwała mnie przez dwa dni, że pojechała do sąsiadów i wróci koło jedenastej. Podpisała się pani: Lucy.

— To jest moje imię.

— Wiem o tem! Słyszałem raz, jak matka pani tak nazwała panią.

— Jak więc pan może sądzić, że my śnimy, kiedy pan przeczytał moje słowa. Jestem zupełnie pewna, że napisałam je przed wyjazdem. Pan przeczytał je i powtórzył mi, com napisała. Jest to dla mnie ważny dowód.

— Ależ nie! Jeżeli pani śni, jest to zupełnie naturalne, że ja wiem to, co pani wie, ponieważ według mojej hipotezy jestem tylko wytworem pani wyobraźni.

— Wspaniale pan mówi! — zawołała postać, śmiejąc się serdecznie. — Więc pan sam uważa się za fantasmagoryę. Jest to najwyższy tryumf logiki! Zaczęłam i ja śmiać się.

— Niechże więc moja iluzja usiądzie i opowie o swych pracach chemicznych. Co pan miał tak ważnego do roboty, iż zaniedbał pan swojej wizyty.

— Czy pani żałowała mej nieobecności?

— Żałowałam! Zaczynam przyzwyczajać się do pańskich odwiedzin; brak mi ich było przez te dwie noce. Lecz niechże pan opowie, co tak pilnego miał do roboty?

Zawahałem się, doktorze, powierzyć postaci sekret analizy, którą tak prędko musiałem skończyć; zależne są od niej bardzo ważne sprawy i moja niedyskrecja mogłaby pociągnąć za sobą przykre skutki. Wahanie moje wydało mi się jednak śmieszne, przecież tylko moja wyobraźnia stworzyła tę postać. Powiedzieć jej mój sekret znaczy to samo, co powiedzieć sobie, mimo to przemówiłem do niej niezwykłym tonem.

— Pani żąda odemnie sekretu. By go wyjawić, mużę być pewien, że w pani mam duszę pewną, oddaną, wierną, gdyż w rękach swych będzie pani miała mój honor.

Zdziwiłem się sam swej powadze, z jaką wymawiałem te słowa; wywarły one na postaci silne wrażenie.

— Ja będę tą przyjaciółką — odrzekła.

— A czy wie pani, do czego to panią zobowiązuje? Czy jest pani gotowa do wypełnienia tej roli przyjaciółki, powiernicy mych nadziei i zawodów? Życie nie jest słodkiem dla mnie; szczęście nie złożyło mej młodości. Będę miał do podzielenia z panią więcej trosk, niż radości.

Zastanowiła się na chwilę z głową opartą na rękach.

— Zgadzam się — rzekła i wyciągnęła do mnie rękę. Schwyciłem ją i uściśnąłem silnie, potem podniosłem oczy na nią i wzrok nasz skrzyżował się; byłem bardzo wzruszony i miałem wrażenie, że zamienione słowa są doniosłe, że wywrą na me życie wpływ decydujący.

Rzekłem jej wtedy, nie wypuszczając jej ręki, że miałem powierzoną sobie trudną i długą analizę, odnoszącą się do wyrabiania pewnego przetworu za niską cenę. Towarzystwo, które miało kupić ten sekret, nie chciało zobowiązywać się do niczego przed stwierdzeniem, że przetwór nowy będzie identyczny ze starym. Czasu na to było tylko trzy dni, gdyż wynalazcę chciało pozyskać konkurencyjne towarzystwo angielskie. Profesor Durieux był proszony o zrobienie koniecznej analizy, sam jednak nie mógł się tego podjąć i polecił tę pracę mnie. Skutecznie ją dzięki małemu odkryciu, jakiego sam dokonałem: pozwala ono dokonać w przeciągu doby analizę, na którą trzeba zwykle zużyć kilka dni. Za

pracę swą nad powierzoną analizą zostałem hojnie nagrodzony.

Podałę postaci szczegóły: analiza odkryła mi tajemnicę nowego wyrobu, ale poznałem ją dzięki tylko swemu sposobowi analizowania. Wyłożyłem w raporcie ten sposób, dodając, iż ogłoszenie jego może przyczynić się do odkrycia tajemnicy nowego wynalazku; z tego więc powodu nie opublikuję go, a ograniczę się tylko do wysłania pod pieczęcią do Akademii Nauk.

— Jest to bardzo szlachetny uczynek z pańskiej strony — rzekła mi postać, ściskając silnie za rękę.

— Trudno! Nie mogłem przecież zdradzić zaufania: gdybym ogłosił swój sposób analizowania, każdy chemik z jego pomocą poznałby tajemnicę nowego wyrobu, za którą towarzystwo zapłaci wielkie sumy.

— A więc, moja iluzjo, mogłaś zyskać wiele pieniędzy, jeżelibyś sprzedała swój sposób, lub choćbyś straszyła tem i mimo swej biedy nie uczyniłaś tego?

— Jakże mógłbym to uczynić!

— Cieszę się z tego bardzo! — rzekła postać, ponawiając swój uścisk.

— Ja już pani powiedziałem, kim jestem — odezwałem się po krótkim milczeniu — lecz pani nie okazała mi tego zaufania. Pani posiada wszystkie moje tajemnice, nawet te, których nie wyjawilibym, gdyby pani nie była mi droższą od samego siebie. Nie żądam pani sekretów, chciałbym jednak wiedzieć, kto pani jest?

— Ja? Ja jestem Lucy Franchard, mam lat dwadzieścia dwa: ojciec mój jest byłym prezydentem trybunału; podał się na emeryturę, gdy masoni przyszli do władzy. Mieszkamy w tej posiadłości: jeden miesiąc przebywamy w Paryżu i jeden w Bordeaux, a także przez miesiąc bawimy nad morzem. Od września do maja nie wyjeżdżamy prawie wcale z Balizac.

— To nazwa tego majątku?

— Tak. Życie moje jest bardzo ciche i monotonne. Przy mnie bawi jeszcze moja dawna nauczycielka, która nauczyła mnie trochę niemieckiego i angielskiego, babrać na porcelanie i grać trochę na fortepianie. Dnie swoje spędzam razem z nią; pragnę wiedzieć tyle, co i ona.

— Czy jest bardzo uczoną?

— Bardzo inteligentną i dobrą. Jest to moja powiernica.

— Opowiedziała jej pani o snach?

— Nie. Okazuje ona skłonności do mistycyzmu, nie chciałam więc wyjawiać jej faktów, którym przypisywałaby zbyt wielkie znaczenie. Rodzice zaś z takim śmiechem przyjęli moje zwierzenie, że już teraz milczę.

— Ach, gdybym ja nie śnił tylko! — rzekłem po chwilowym milczeniu — lecz jak się upewnić? Pani mi mówi, że mieszka w zamku Balizac? Jaki jest pańi dokładny adres?

— Lucy Franchard, w zamku Balizac, poczta Balizac.

— Mój zwykły adres: Antoni Leyre, kierownik laboratorium chemicznego w uniwersytecie, Bordeaux.

— POCO pan się pyta o adres? — zapytała postać.

— Pragnę uczynić pewne doświadczenie. Czy zechce mi pani pomóc?

— Niech mi pan powie naprzód, co chcesz uczynić?

— Napiszę do pani, że znalazłem różaniec i chcę go odesłać, jeżeli pani go zgubiła. Niech pani zażąda, bym go zwrócił i doda kilka słów, odnoszących się do zwierzeń, jakie pani poczyniłem.

— Dobrze, zrobię to.

Byłem jeszcze przy postaci, rozmawiając z nią, gdy doznałem znowu wrażenia, że coś mnie odciąga i obudziłem się.

— Czy wysłał pan ten list? — zapytałem żywo pana Leyre.

— Nie; chciałem to uczynić, lecz wstyd mi.

— Trzeba zaraz go napisać.

Podałę swemu pacyentowi papier i on napisał następujący list:

„Szanowna Pani!

Dwudziestego ósmego listopada znalazłem koralowy różaniec na plaży na przylądku Ferret. Zapewniano mnie, że należy do pani. Jeżeli tak jest w istocie, proszę mnie powiadomić, a zaraz go wysłę.”

Chciał podpisać, lecz powstrzymałem go za rękę.

— Jeżeli pan chce, by doświadczenie było ścisłe, niech pan nie podaje ani swego nazwiska, ani adresu: nikt nie będzie wiedział o wysłaniu tego

listu: jeżeli pan otrzyma odpowiedź, będzie to niezbity dowód...

— Pan więc sądzi, że to nie jest sen? — rzekł Leyre drżącym głosem.

— Nie jeszcze nie wiem. Czekajmy na dalszy ciąg.

Zadzwońnię na służącego i kazałem wysłać zaraz ten list. Młody mój uczony patrzył na mnie jakby z osłupieniem.

— Pan nie śmiałyby wysłać tego listu, gdybym go panu pozostawił. Miałby pan nowe wątpliwości, wahania, skrupuły i nie zdecydowałby się pan.

— Może to i prawda! — odpowiedział Leyre, zegnając się.

— Odpowiedź dostanie pan pojutrze. Czy można pana prosić o zawiadomienie mnie.

— Och, bezwarunkowo — odparł młody chemik.

Po dwóch dniach zjawił się u mnie o drugiej godzinie. Przerwałem konsultację i przyjąłem go w bocznym pokoju. Nie mówiąc ani słowa, podał mi kopertę ze stemplem. Balizac. Na odwrotnej stronie był odbity monogram złoty Ł. F.

Papier wewnątrz oznaczony był temi samymi literami: przeczytałem następujące słowa:

„Lucya Franchard dziękuje panu Antoniemu Leyre za informację. Różaniec koralowy zgubiła istotnie dwudziestego siódmego listopada na przylądku Ferret. Ośmiela się zarazem złożyć pozdrowienia panu Leyre, którego *prace i bezinteresowność* poznała: spodziewa się, iż nie zawsze będzie posyłał do Akademii Nauk *opieczątowane paczki*.”

Ręka jego drżała, gdy mu oddawał ten cenny dowód. Spostrzegłem, iż jego wzruszenie jest tak silne, iż nie może wymówić ani jednego słowa.

— Nie można tem się przejmować — rzekłem, uderzając go po koleżeńsku po ramieniu. — Od życia należy się spodziewać tylko rzeczywistości: nie można liczyć tylko na przyszłość. Czy sen ten powtarza się?

— Tak. Rozmawialiśmy o projektach na przyszłość: postać ta jest ciągle bardzo czuła dla mnie, lecz zdaje mi się, że unika rozmowy o sobie. Dowiedziałem się, że otrzymała mój list i odpowiedziała na niego. Mam teraz pewność, że to nie sen: moja nieznajoma istnieje w rzeczywistości i chce ją widzieć na jawie. Jutro pojadę do Balizac. O dziewiątej godzinie ma być na mszy i ja na niej będę. Muszę jednak opuścić pana, gdyż jestem zajęty.

— Do widzenia — rzekłem serdecznie. — Niech Bóg ma pana w opiece.

Następnego dnia była właśnie niedziela. Siedziałem zajęty nad pracą, którą mam wkrótce wydać, gdy wszedł pan Leyre. Twarz miał bladą; w oczach jego widniała straszna rozpacz.

— Wychodzi za mąż! — były pierwsze jego słowa.

Nie odpowiedziałem; posadziłem go w fotelu koło siebie i wziąłem po przyjacielsku za rękę. Siedział nieruchomo, z rękami załamanymi, z twarzą zmarszczoną, z oczami utkwionymi w płomień na kominku.

Wolałbym widzieć w nim rozpacz nie tak milczącą, bałem się, wiem bowiem, jak wielką ulgę sprowadzają cierpiącym łzy i krzyk. Ci, którzy za chowują ponure milczenie, pozostają nieruchomi, skłonni są do największych czynów rozpacz. Odgadłem tok myśli pana Leyre i rzekłem mu:

— Ma pan matkę.

Trafiłem dobrze. Spojrzał na mnie i odrzekł:

— Słusznie pan mówi. Mnie jednego tylko posiada.

Nie dodałem już nic, lecz zapaliłem papierosa i przyglądałem się młodemu człowiekowi, którego serce tak cierpiało. Przez dłuższą chwilę pozostawaliśmy w milczeniu, gdy zapukano do drzwi i służący podał mi depeszę. Była ona od mego kolegi:

„Oczekuję pociągiem o piątej godzinie w Langon. Spać będziemy w zamku Balizac, wezwanie w nagłym wypadku.”

Był to dziwny zbieg okoliczności. Cóż miałem uczynić?

— Wzywają mnie w ważnej sprawie — rzekłem panu Leyre. — Niech pan tu pozostanie, jak długo zechce. Proszę teraz na mnie spojrzeć.

Gdy młody pacyent podniósł na mnie swe czarne oczy, odezwałem się:

— W chwili największej rozpacz wypadki układają się najpomyślniej. Niech pan nie traci nadziei: muszę teraz pana opuścić: niech pan nie czyni przed moim powrotem.

I pojechałem.